

A. K. GREEN.

KTO MORDERCĄ?

8

Po tem następował dopisek:

„Ponieważ ciężko byłoby nam spotykać się i nie rozmawiać o tem, lepiej więc będzie jeżeli w milczeniu znosić będziemy swe cierpienia. Jutro zajdzie do pana pan Herval“.

Wyszedłem z domu i nie zdążyłem jeszcze odejść daleko, gdy naraz usłyszałem za sobą czyjeś przyspieszone kroki: obejrzałem się i ujrzałem doganiającego mnie Tomasza.

— Przepraszam, że niepokoję pana — rzekł mi — lecz muszę panu oznamić coś bardzo ważnego. Gdy pan pytał mnie kilka dni temu, kto był ten pan, który w przeddzień zabójstwa odwiedził miss Eleonorę, dałem na to niewłaściwą odpowiedź. Ajenci starali się już wybadać mnie pod tym względem i dlatego miałem się na baczności. Pan jednak jest przyjacielem naszego domu i panu muszę wyjawiać, że ten pan nazywający się wówczas Roy Robbins, był znowu dzisiaj u nas pod nazwiskiem Klaweringa. Oprócz tego zachowuje się on jakoś dziwnie: wówczas za pierwszym razem, gdy spytałem go, jak mam zaanonsować, wziął swój bilet i napisał na nim inne nazwisko.

— No i co?

— Panie Rymond — mówił dalej służący ciuchym, wzruszonym głosem. — Jeszcze nie powiedziałem panu czegoś, o czem wiem tylko ja i Molly. Może winni wiedzieć o tem ci, którzy szukają zabójcy.

— Czy chce mi pan podać jaki fakt, czy tylko podejrzenia.

— Nie, to jest fakt i ja jeszcze raz przepraszam, że zatrzymuję pana. Molly jednak nie daje mi spokoju i ciągle nastaje na to, bym opowiedział panu wszystko. Boi się bardzo o Dżen, która zupełnie jest niewinna. Wszyscy jesteśmy o tem przekonani, chociaż źli ludzie podejrzewają ją o zabójstwo, dlatego, iż zniknęła właśnie w tę pamiętną noc.

— Niech pan mówi prędzej, o co chodzi — przerwałem mu.

— Chciałem powiedzieć już o tem panu Grynowi, lecz widzi pan, ja boję się wszelkich agentów: oni zawsze tak natarczywie badają, jakby podejrzewali, że człowiek daleko więcej wie, niż mówi.

— Pędź do rzeczy — przerwałem mu znowu.

— Chodzi o to, iż w ten złowrogi wieczór wpuściłem pana Robbinsa czy też Klaweringa, jak się on tam nazywa, nikt jednak nie widział kiedy, on wychodził.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Tylko prawdę. Gdy powróciłem od miss Eleonory, której oznajmiłem o przybyciu mastera Robbinsa, powiedziałem mu, że pani moja czuje się nie-dobrze i nikogo nie przyjmuje. Lecz on zamiast odejść, udał się najspokojniej do salonu i tam usiadł. Wydało mi się, że jest chory, był bardzo blady i prosił mnie o szklankę wody. Poszedłem do kuchni po wodę i zaraz usłyszałem, jak zatrzasnęły się wchodowe drzwi. „Co to takiego?“ zapytałem Molly. — „Nie wiem“ — odpowiedziała mi — „może temu panu znudziło się czekać i poszedł“. — „W takim razie nie potrzebuje już wody“ — rzekłem i wróciłem do salonu. Już go tam nie było. Zape-wne odszedł, lecz kto może powiedzieć na pewne, że tak było w istocie? Przecież on mógł w ciemności ukryć się gdzie w domu.

Nic mu na to nie odpowiedziałem, zdziwienie jednak moje było tak wielkie, iż nie mogłem się opanować.

— Nigdy mi do głowy nie przychodziło podejrzewać kogo z panów, którzy bywają u naszych panien. Ponieważ jednak wiemy wszyscy, że tej nocy musiał się ktoś ukrywać w domu z zamiarem zabicia naszego pana, ponieważ nie Dżen go zabiła, więc...

— Miss Eleonora nie chciała w takim razie przyjąć tego pana?

— Tak, już to mówiłem panu. Z początku spoj-rzała na bilet i jakby wahała się, potem zacerwie-niła się i kazała powiedzieć, że go nie przyjmie. Jabym nawet i nie przypomniał sobie tego, gdyby ten pan nie przyszedł znowu dzisiaj pod innym nazwiskiem. Ja nie chcę wcale mówić o nim źle, lecz Molly nalegała, bym wszystko panu opowiedział.

Gdy wróciłem wieczorem do domu, wziąłem zno-wu arkusz papieru do ręki i wyszczególniłem na nim

wszelkie poszlaki, nie odnoszące się jednak tym razem do Eleonory, lecz do Klaweringa.

XVI.

Niespodziewany klient.

Gdy na drugi dzień przyszedłem zmęczony i znu-żony do biura, oznajmiono mi, że już oddawna czeka na mnie jakiś pan. Nie byłem bynajmniej uspo-sobiony tego dnia do przyjmowania klientów i dla-tego też nie bardzo ucieszyłem się tą wiadomo-ścią. Jakież jednak było zdziwienie, gdy u siebie w gabinecie zastałem Klaweringa. Tak byłem zdu-miony, iż nie mogłem przemówić słowa. Powstał on przy mem wejściu i podał mi swą kartę wizytową, na której przeczytałem: Henryk Ritschi Klawering.

Potem przeprosił mnie uprzejmie za niepokój, jaki sprawił swą wizytą i wyjaśnił, że ponieważ jest obcym w tem mieście i nikogo nie zna, postanowił więc wprost zwrócić się do mnie bez żadnych polecających listów. Sprawa, w jakiej do mnie przyszedł, jest bardzo skomplikowana i zagmatwana, lecz odnosi się nie do niego, ale do jego przyjaciela, który chciał poradzić się prawnika, sam bowiem nie zna zupełnie amerykańskich praw. Poprosił następ-nie o pozwolenie przystąpienia wprost do rzeczy, wyjął z kieszeni notes i przeczytał mi następujący fakt:

„Pewien Anglik, podróżujący po Ameryce, poznał w jednym ze znanych miejsc kura-cyjnych Amerykankę, w której tak się zako-chał, iż po kilku dniach znajomości oświadczył się jej formalnie. Posiadając ogromnym majątkiem, podobał się pannie i został przyjęty. Na nieszczęście krewni panny przeciwni byli temu małżeństwu, wskutek czego swoje oświad-czyny musiał on zachowywać w tajemnicy. W jakiś czas potem został wezwany do Anglii w sprawach bardzo ważnych i niecierpi-ących zwłoki; oznajmił zaraz o tem listownie swej narzeczonej i prosił ją, by zgodziła się na ślub tajemny.

„Ona przystała na to, postawiła jednak dwa warunki: pierwszy, że natychmiast po ślubie on wyjedzie i drugi, że pozostawi jej wybór czasu, kiedy małżeństwo ich będzie o-głoszone.

„Warunki te były dla niego bardzo ciężkie, lecz ponieważ chciał się koniecznie z nią oż-enić, przyjął je wreszcie. Umówił się ze swą narzeczoną, iż spotkają się w małym miaste-czku, oddalonym o dwadzieścia mil od tego kuracyjnego miejsca i tam wezmą ślub. Wszy-stko też tak się odbyło, przy udziale tylko dwóch świadków; jednego dał pastor, drugim świadkiem była dama, która przyjechała razem z narzeczoną. Chodzi jednak o to, że panna nie miała jeszcze wówczas dwudziestu jeden lat i powstało teraz pytanie, czy ten ślub był ważnym, czy nie?

„Jeżeli ta osoba zechce teraz utrzymywać z jakiegokolwiek powodu, że nie uważa się za związaną tym ślubem, czy w takim razie mąż może ją zmusić do wspólnego pożycia? Jednem słowem przyjaciel mój pragnie się do-wiedzieć, czy jest według prawa jej mężem, czy nie?“

Bardzo zainteresowałem się tym wypadkiem i tak się przejąłem myślą o przyjacielu pana Klaweringa, iż w chwili tej zapomniałem zupełnie o nim samym. Zapytałem, gdzie się odbywał ślub i gdy się do-wiedziałem, że miał miejsce w okolicach Nowego Jorku, odpowiedziałem mniej więcej w ten sposób:

— W tym Stanie, jak i w innych według a-merykańskich praw, ślub uważany jest za umowę, która w zupełności może się odbyć bez ceremonii kościelnej i bez ślubnego świadectwa; w wielu miej-scach obywają się nawet i bez świadków. Dawniej ślubne umowy załatwiała się tak zwyczajnie, jak gdyby chodziło o jakie kupno lub sprzedaż i obecnie nawet, właściwie mówiąc, stan rzeczy nie wiele się zmienił. Wystarczy, jeżeli obie strony wiedzą: od dzisiaj uważamy się za męża i żonę — to wszy-stko. Potrzeba tylko wzajemnej zgody i nic więcej.

— A więc według pana...

— Według mego zdania pański przyjaciel jest istotnie mężem tej Amerykanki, o ile, ma się rozumieć, nie było jakichś prawnych przeszkód, sprzeciwiają-cych się wogóle temu związkowi. Co zaś dotyczy wieku tej pani, to mogę powiedzieć panu tylko to, iż u nas każda czternastoletnia dziewczynka może prawnie zawrzeć małżeński związek.

Klawering skłonił mi się z wyrazem prawdziwe-go zadowolenia.

— Bardzo się cieszę, że usłyszałem to od pa-na — rzekł mi — szczęście bowiem mego przyja-ciela zależało od pańskiej odpowiedzi.

Wydał mi się tak szczęśliwym, iż mimowolnie obudził mą ciekawość.

— Powiedziałem panu tylko swe zdanie o pra-wnej stronie tego ślubu; cała jednak sprawa przed-stawi się zupełnie inaczej, jeżeli wchodzi w grę ja-kieś nieporozumienie i wątpliwości, jeżeli jedna ze stron nie zechce zgodzić się na to — rzekłem mu, patrząc prosto w oczy.

Zadrżał i szepnął:

— Tak, to prawda.

— Pozwoli mi pan zadać sobie jeszcze kilka pytań. Czy ta pani brała ślub pod swem nazwi-skiem?

— Ma się rozumieć.

— A ten pan?

— Również.

— Czy tej pani wręczono akt ślubny?

— Tak.

— Czy był on podpisany jak należy przez pa-stora i świadków?

Kiwnął potakująco głową.

— Czy ma jeszcze ten akt?

— Nie mogę powiedzieć na pewne, lecz zläje mi się, że tak.

— Kto był świadkiem?

— Jednego świadka dał pastor.

— Uważa pan, że będzie go można jeszcze zna-leść?

— Nie.

— Umarł, czy też nie zna pan miejsca jego za-mieszkania?

— Pastor umarł, a świadek znikł.

— Kiedy umarł pastor?

— Trzy miesiące temu.

— A kiedy odbył się ślub?

— W lipcu zeszłego roku.

— Gdzie się znajduje drugi świadek, towarzy-szka narzeczonej?

— Można ją odszukać, lecz nie można na niej polegać.

— Czy przyjaciel pański ma przynajmniej akt ślubny?

Klawering zaprzeczył głową.

— Nie, on nawet nie jest w stanie dowieść, że w dzień ślubu znajdował się w miasteczku, gdzie to się odbywało.

— Lecz akt ten zapisany jest do ksiąg kościel-nych?

— Niestety nie.

— Jakże się to stało?

— Nie umiem panu tego powiedzieć; wiem tylko tyle, iż przyjaciel mój szukał w księgach i nie zna-lazł.

Oparłem się o poręcz fotelu i rzekłem:

— Wyobrażam sobie, jak musi niepokoić się pański przyjaciel, jeżeli sprawa przedstawia się rze-czywiście tak, jak pan mówi i jeżeli pani ta nie chce uznać tego ślubu. Jeżeli odda on sprawę tę do sądu, to wyrok może zapasć i na jego korzyść, twierdzić jednak tego stanowczo nie mogę. Dowo-dów on nie ma — może tylko słowa swe potwier-dzić przysięgą. Jeżeliby jednak żona jego zechciała utrzymywać co innego i również pod przysięgą — to zazwyczaj sprawy takie kończą się wygraną ko-biet a nie mężczyzn.

Klawering powstał i prosił mnie o zredagowa-nie dokumentu, który potwierdzałby, że w danych warunkach ślub musi być uznany jako prawnie za-warty. Podobny dowód uspokoi jego przyjaciela, gdyż on wie, że żaden porządny adwokat nie zgodzi się na wyrażenie piśmiennie swego zdania w spra-wie niezgodnej z prawem.

Podobna prośba wydała mi się na tyle naturalną, iż natychmiast napisałem odpowiedni dokument i po-dałem mu go. Przeczytał go i zrobił u siebie w no-tesie jakies uwagi.

Potem zwracając się ku mnie, rzekł z widocznym wzruszeniem:

— Mam do pana jeszcze jedną prośbę. Jeżeli zdarzy się panu kiedykolwiek ofiarować swą rękę i serce jakiej pannie, to niech pan nie zadawała się jej zgodą, a stwierdzi przedtem dokładnie, czy ona rzeczywiście jest wolną. Może bowiem przytrafić się, że ona będzie już zamężna, jak ta Amerykanka, o której panu mówiłem.

Słowa te wymawiał znacząco i powoli, patrząc mi prosto w oczy, potem ukłonił się i szybko wy-szedł z pokoju. Stałem jak rażony piorunem. Co chciał przez to powiedzieć? Co on miał na myśli? Czyż istotnie stało się już coś podobnego? Czyż Eleonora jest zamężna? Jest jego żoną? Nie, nie,